

Marolambo dnia 5 sierpnia 1982 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Przez miesiąc nieobecności niewiele się tu zmieniło. Szczury nie zrobiły zbyt wielkich szkód w moim mieszkaniu, tylko nieznacznie nadgryzły kilka książek, wygryzły dziury w kilkunastu kartkach z kazaniami, odgryzły kawałek drewnianej obudowy wzmacniacza, ale uprzemie nie uszkodziły samego aparatu. Wyrąbałem więc okrągłą dziurę w drewnianej ścianie do magazynu i nauczyłem kota odwiedzać mnie tym bardziej, że przy dziurze kot znajduje trochę mleka zrobionego z proszku. Każda z naszych misji otrzymała z Europy tonę mleka do podziału między szpitale na naszym terenie. Nie starczy nawet po pół kilograma dla każdej matki mającej niemowlaka. Jeden worek pękł przy transporcie i brudne mleko piją kotki. Niestety, kot przychodzi zbyt często i miauczeniem upomina się o zwiększony przydział mleka. Zaś szczury harczą po suficie, chociaż i tam koty nie dają im spokoju. Jednakże nie jest im łatwo dopaść gryzoni kryjących się w dziurach pomiędzy deskami sufitu i podłogi: szczur się zmieści, kot tam nie wejdzie.

Ale wracam do naszych spraw. Ktoś prosił mnie o przesłanie mu listka bananowego. Niestety, koperta musiałaby mieć przynajmniej 2-5 metrów długości i 40-70 cm szerokości, a takich kopert nie mam. Liście bananowe służą za parasol w czasie deszczu, w sklepie zaś sprzedawca pakuje cukier czy sól, a także pasek z tego listka służy jako łyżeczka do zamieszania kawy, jeśli ktoś wsypuje cukier. Nasze króliki też jedzą chętnie liście, które podobno są nieco gorzkie (nie kosztowałem, ale wierzę Malgaszom). Dziś po sjeście nakarmiłem króliki, rozmawiałem z kilkoma interesantami, gdyż jestem sam na misji i w tym nikt mnie nie zastąpi. Napisałem też dwa bardzo pilne listy do osób, które od marca czekają na moją odpowiedź. Potem zmieniłem zużytą taśmę maszynową, pomalowałem stolik służący mi aż dotąd pod miednicę i w ten sposób narobiłem sobie kłopotu. Teraz stary, zniszczony stolik stał się zbyt ładny, aby do takiej funkcji go używać. Jeszcze założyłem sweter i długie spodnie, gdyż rtęć w termometrze spadła do + 20°C, więc stało się strasznie zimno. Zajrzałem do zeszytu i stwierdziłem, że już czas napisać nowy list do Przyjaciół Misji. Zapada mrok, więc i ja przenoszę się z maszyną z werandy do mieszkania i tu przy lampie naftowej spróbuję napisać początek list do kolacji, a dokończyć po kolacji. Jestem sam w domu, więc nikt mi w tym nie powinien przeszkodzić, rozmów ze współbraćmi dziś nie będzie.

Przeżyłem już drugą malgaską zimę. Rtęć w termometrze kurczyła się nocą aż do +16° Celsjusza, w ciągu dnia w pokojach było 22°C. Nocą trzeba spać pod trzema kocami. To wilgoć daje wrażenie przenikliwego zimna. Najgorzej jest z suszeniem bielizny. Nawet przez tydzień słonecznej pogody wszystko pozostaje wilgotne. Na niektórych misjach na Madagaskarze co dwa lub trzy tygodnie trzeba też wyjmować rzeczy z szafy, aby je przewietrzyć. Kiedyś postawiłem miednicę pod rynną i rano znalazłem około dziesięciu litrów wody, która przez noc spłynęła z dachu, a niebo było pełne jasno świejących gwiazd. Trudno to zrozumieć, chociaż nie potrzeba sobie tego wyobrażać, wystarczy rano popatrzeć na skutki. Oczywiście pada często, ale jest to pora deszczowa, czyli często zdarzają się drobne deszcze, a nawet mżawki. W takich warunkach przyszło nam powracać z Ambinanindrano do Marolambo na początku czerwca. Samochód prowadził Ojciec Jan Kely, ja siedziałem obok i przytrzymywałem dźwignię biegów terenowych, odpowiednio przełączając. Początkowo chciałem pojechać motorem, ale to zawsze niebezpieczne, wliczyć też trzeba przynajmniej jeden upadek przy tak małej wprawie jazdy na takim terenie. Poza tym głośno chodzi łańcuch rozrządu i nie dało się go uregulować. Na misji w Marolambo też brakuje benzyny i dlatego spodziewaliśmy się ich przyjazdu. Przyjechali, ale zbyt późno, aby jeszcze pojechać do Mahanoro. Wyruszyliśmy późno, dopiero o 10-ej. W samochodzie mieliśmy 5 kg cukru, parę skrzynek napojów, 6 litrów oleju jadalnego, worek z pocztą przywieziony z Mahanoro i inne bagaże tak, że ponad pół tony było w skrzyni samochodu. Po dwudziestu kilometrach nie udało nam się podjechać pod śliski i krótki pagórek,

samochód zsunął się na bok. Straciliśmy dwie godziny na wyprowadzenie go z płytkiego rowu przy pomocy lewarka i kamieni, których tu nie brakowało. Z drugiej dziury wydostaliśmy się szybko, bo już mieliśmy doświadczenie. Wpadliśmy przez zbytnią ostrożność. Nie chcieliśmy przejeżdżać prowadząc prawe koło samochodu tuż przy krawędzi mostu. Lewa koleina przeznaczona dla traktorów okazała się za głęboka dla naszego samochodu. Po raz trzeci wpadliśmy o zachodzie słońca z powodu niewłaściwie wybranej koleiny. Trzeba było wybrać lewą, a my wjechaliśmy w środkową. Po dwóch godzinach zrezygnowaliśmy z dalszej jazdy. Zjedliśmy ciastka zrobione na mleku w kształcie serduszka, podobne do polskich naleśników, tylko grubsze i cięższe. Popiliśmy oranżadą i rozpoczęliśmy długą i spokojną noc śpiąc w pozycji siedzącej w samochodzie. Rano ludzie z pobliskiej wioski wypchnęli nas i po ósmej opowiadaliśmy naszemu francuskiemu współbratu o atrakcjach, nic nie wspominając o ciastkach przeznaczonych specjalnie dla niego. Potem umyliśmy samochód, aby był gotowy do dalszej drogi.

Na drugi dzień dwaj moi współbracia udali się do najdalszego sektora (około 100 km od Marolambo) na całe dwa tygodnie. Pozostałem znów sam na misji. I ja byłem pierwszym, który dowiedział się z listu O. Franciszka o zrealizowaniu wszystkich naszych zamówień. A było ich sporo, bo na Madagaskarze nie można kupić nawet kremu do golenia. Czekaliśmy na jego powrót także dlatego, aby wreszcie dowiedzieć się czegoś pewnego o sytuacji w Polsce. Bo według wieści docierających do nas nawet na urlop do Polski trudno byłoby jechać. Chociaż nie jest tak źle, jak słyszymy i czytamy, bo z Kamerunu Oblaci pojechali. Poza tym cieszą mnie wiadomości, że procesje Bożego Ciała mogą się odbywać ulicami polskich miast także przez wszystkie dni dawnej Oktawy, co przez ponad 20 lat było niemożliwe. Świadczy to o istotnych zmianach w naszej rzeczywistości, chociaż francuskie radio podało, że wizyta Ojca Świętego będzie mogła mieć miejsce dopiero w sierpniu albo nawet wrześniu przyszłego roku. Papież Paweł VI chciał przybyć do Polski w 1966 roku milenijnym tylko na dwie godziny, aby w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej odprawić Mszę Świętą. I nawet na to nie otrzymał zezwolenia. Teraz w 800-lecie sprowadzenia Cudownego Obrazu Papież - Polak nie może przejechać. Co o tym sądzicie?

Boże Ciało na Madagaskarze obchodzi się w niedzielę, ale procesji nie było. Starsi chrześcijanie pamiętają i ten zwyczaj trzeba będzie przywrócić. Sam przygotowałem się do urzędzenia procesji, ale pytaniem o procesję wywołałem tylko zdziwienie. Procesji więc nie było „zgodnie z dawnym zwyczajem”, chociaż niezgodnie z dawniejszym. Nie wydaje mi się, że przyczyną zarzucenia procesji są padające w tym okresie deszcze. Deszcze rzeczywiście padają, są bardzo drobne, delikatne, łagodne i ciepłe, a z ich powodu ziemia i powietrze są przesiąknięte wilgocią. Ustąpić musiałem, jednak jestem przekonany, że nie jest to wystarczający powód, aby zrezygnować z procesji. Na przyszłość rok będzie.

Szesnastego czerwca niespodziewanie zjawił się Ojciec Marian. Przyjechał na traktorze z Ambinanindrano. Potrzebował półtora dnia na przebycie 60 km między naszymi misjami. Spał po malgasku w malgaskiej chacie: na podłodze. Ale przezorny, jak na misjonarza przystało, do swego bagażu włożył koc. W domu pobyl niedługo. Wrócił do Ambinanindrano naszym samochodem nazajutrz, aby za cztery dni przywieźć na naszą misję beczkę nafty i beczkę benzyny. Wyprawa w pojedynkę jest nieprzyjemna, więc opłacił Malgasza, który przydał mu się do pracy łopata. W drodze powrotnej zdobył nowe doświadczenie. Miał kłopoty z uruchomieniem silnika, gdy land-rover stanął w dziurze. Cofając samochód błoto zablokowało rurę wydechową... Ale teraz już mamy na pewien czas naftę do lodówek i benzynę do agregatora, dzięki czemu wieczorną Mszę świętą odprawiam znów przy świetle elektrycznym.

Tego samego dnia 16 czerwca zostałem zaproszony do władz miejskich w celu omówienia ekumenicznego nabożeństwa związanego ze świętem odzyskania Niepodległości Madagaskaru w dniu 26 czerwca 1960 r. Zwykle takie nabożeństwo odbywa się w sam dzień i Ojciec Raymond zdążyłby powrócić na czas z obchodu misyjnego. Przygotowałem się na powitanie go na misji w dniu 21 czerwca. Niestety, tym razem władze miasta wyznaczyły to nabożeństwo na niedzielę, dnia 20 czerwca, i wszystko spadło na mnie. W rezydencji wojewody byłem tylko z pastorem, czyli duchownym Kościoła Protestantckiego. Po zakończeniu naszego spotkania z Prefektem (czyli Wojewodą) uzgodniliśmy, że program omówimy nazajutrz na misji katolickiej, gdyż na

nas, katolików, wypadła kolej na przygotowanie tych modlitw. Zaprosiłem też pracownika poczty, filara Rady Parafialnej, który był pożyteczny tym bardziej, że prezbiter, czyli duchowny Kościoła Anglikańskiego, nie zna francuskiego, ja zaś jeszcze za słabo znam malgaski, a tłumaczenie wszystkiego przez pastora byłoby bardzo uciążliwe. Punktualnie i zgodnie z planem o godz. 8-ej powitałem przed domem obydwu duchownych, którzy zwyczajem malgaskim zdjęli obuwie zostawiając je za progiem. Całe zebranie trwało krótko, około 10 minut. Chciałem poczęstować gości czymś do picia (lemoniada, piwo), ale obydwaj odmówili. Uzgodniliśmy, że ja przywitam przybyłych, odmówię wstępną modlitwę, modlitwę wiernych i udzielę końcowego błogosławieństwa. Młodzież katolicka przygotowuje dwie pieśni i przeczyta pierwsze czytanie. Pastor przygotowuje modlitwę i komentarze do drugiego czytania, zaś protestancka młodzież przygotowuje dwie pieśni i weźmie drugie czytanie. Prezbiter przeczyta Ewangelię i wygłosi przemówienie - kazanie. Do katolików - gospodarzy tego ekumenicznego nabożeństwa - należało przygotowanie kościoła: ozdobienie flagami, ustawienie krzeseł dla władz miejskich i żandarmerii, sprzątanie, kwiaty...

W niedzielę, dnia 20 czerwca, punktualnie przybyli wszyscy duchowni z trzech wyznań chrześcijańskich do zakrystii. Po wzajemnym przywitaniu się włożyliśmy nasze stroje i poszliśmy przed wielkie drzwi kościoła. Weszliśmy do kościoła uroczyście przy śpiewie malgaskiego hymnu narodowego, który wyraża prośbę o Boże błogosławieństwo dla Madagaskaru. Nabożeństwo przebiegło zgodnie z planem. Po błogosławieństwie pierwsi wyszli duchowni zatrzymując się przed kościołem, aby każdemu wychodzącemu z kościoła uściśnąć rękę i wypowiedzieć słowa pozdrowienia. Po nabożeństwie, powróciwszy do zakrystii, pożegnałem duchownych innych wyznań. Każdy poszedł do swego kościoła na niedzielną liturgię. Do naszego kościoła powrócili katolicy, aby uczestniczyć we Mszy Świętej ku czci Najświętszego Serca Pana Jezusa. Kazania już nie chcieli słuchać i mieli rację. Nabożeństwo ekumeniczne trwało półtorej godziny, a Msza Święta śpiewana bez kazania jeszcze 45 minut.

Dzień 24 czerwca był dniem porządkowania miasta, ale pracę można było zobaczyć tylko wokół misji katolickiej. Młodzież gracowała alejki i ścinała wysoką trawę. Takie prace trzeba tu wykonywać co 3-4 miesiące bez rozporządzenia władz. W piątek, dnia 25 czerwca, ozdobiono kwiatami trybunę na Placu Niepodległości i także na domach wywieszono flagi Madagaskaru koloru biało-czerwono-zielonego. W sam Dzień Niepodległości o 6-ej rano rozdzwoniły się wszystkie dzwony, aby obudzić mieszkańców do świętowania. Oprócz przemówień i pochodu były zawody (np. wyścigi w pocztowych workach) i atrakcje, np. z zawiązanymi oczami ucinanie sznurka z niespodzianką (ołówki, cukierek). Po południu weterani grali w piłkę nożną. Najstarsi misjonarze też byli zaproszeni, ale gdy zaczął padać deszczyk, wraz z pozostałymi dwoma Polakami usiadłem do kawy i o meczu zapomniałem.

Tydzień później, czyli w sobotę, dnia 3 lipca, nasze serca napełnił radością Ojciec Franciszek przyjeżdżając na misję wraz z Wikariuszem Generalnym diecezji Tamatawy, księdzem Lahady Pascal. Po dwumiesięcznej nieobecności wśród nas mieliśmy wiele do słuchania. Słowom towarzyszyły prezenty: pamiątki i rzeczy zamówione, chociaż na razie tylko nieliczne, które mieściły się w walizce i w limicie bagażu samolotowego. Spać poszliśmy dopiero po dudnieniu pięścią w ścianę, za którą odpoczywał ks. Lahady, aby przypomnieć nam, że już jest godzina, „gdy wszyscy śpią”, czyli dziesiąta w nocy. Niedziela minęła szybko, ale poniedziałek był dniem pracy. Wiele rozmawialiśmy z księdzem Lahady, a także Rada Parafialna przedstawiła mu swoje życzenia. Wikariusz generalny był zaskoczony istniejącymi problemami. Był tu przed dziesięciu laty, ale drogi nie mógł poznać. Na terenie misji zaczęli budować się bez pytania liczni Malgasze, następnych czterech przygotowało sobie miejsca. Co robić? Powoli zajmą cały teren. Skierować sprawę do sądu? Przybyły - Europejczyk czyli kolonialista - ma skarżyć Malgasza? To też nie jest możliwe. Nic nie reagować? Przekazać część wielkiego terenu należącego do misji władzom miejskim? Obrażą się ci, którzy wykupili działki, ale zrobili to z pominięciem wymogów prawa. Misja nadal płaci podatki za działki, na których oni się pobudowali i mają kwity stwierdzające, że zapłacili Misji za tę działkę. Kradzieże drzewa z lasu rosnącego na terenie misji są coraz częstsze, a rodzice wysyłają swoich dziesięcio- i dwunastoletnich synów, którzy tłumaczą się, że nie wiedzieli, iż są na terenie misji. Jak takich

ukarać? A Ksiądz Biskup wciąż marzy o katolickiej szkole w Marolambo (kiedyś była). Trzeba będzie coś zbudować, gdyż dawny budynek szkolny byłby za mały. Poza tym ten budynek został wypożyczony na magazyn spółdzielni skupującej kawę i jeszcze około siedmiu ton tego produktu niszczy podłogę miszjnego, dużego budynku. Do tej pory nie znaleźliśmy żadnego żeńskiego Zgromadzenia, które zgodziłoby się założyć dom w Marolambo. Powodem jest zbyt trudna droga. Rozwiązaniem byłby przyjazd polskiego brata zakonnego, który np. prowadziłby szkołę stolarską. Młodzieńców chętnych do nauki tego zawodu nie zabrakłoby.

Ksiądz Lahady pozostał z Ojcem Marianem w Marolambo i prowadził czterodniową sesję katechetyczną, zaś my trzej pojechaliśmy do Ambinanindrano. Powód był bardzo prozaiczny. Nie mamy wystarczającej ilości materacy na każdej z naszych misji i musimy je przewozić. Nie zmieścilibyśmy się wszyscy do samochodów wraz z materacami. Trzeba było tak zorganizować, abyśmy wszyscy znaleźli się w Ambinanindrano, a także katecheci tamtejszej misji mogli się wyspać. Jechaliśmy szybko i gdyby nie dzwonienie w panewkach przedniego lewego koła, bylibyśmy już po czterech i pół godzinie. Rozkręcenie i przykręcenie koła zajęło nam półtorej godziny, więc i przeciętna szybkość wyniosła tylko 10 km/godz. W Ambinanindrano serdecznie przywitał nas zawsze gościnnie Ojciec Roman. Ja dostałem (choć tylko na czas pobytu na tej misji) także jego maszynę do pisania i czekając na przyjazd Księdza Lahady i Ojca Mariana zajmowałem się pisaniem listów odpowiadając na zaległą korespondencję. Nie zapomniałem też o drugim bardzo ważnym zajęciu, czyli o nauce języka malgaskiego. Ten obowiązek jest najważniejszy. Ojciec Jan wciąż niepokoił mnie chodząc z gramatyką i słownikiem malgaskim w rękę.

Tymczasem 84 katechetów w Marolambo słuchało wykładów księdza Lahady, dyskutowali także w grupach. Ojciec Marian dbał o ich żołądki. Do misji Marolambo należą 62 wspólnoty katolickie, w Ambinanindrano jest ich kilkanaście i tutaj grupa katechetów nie przekroczyła piętnastu przybyłych. My jednak nie czekaliśmy do końca sesji dla katechetów. Jedynie przez jeden dzień mieliśmy swoje „polskie” zebranie. We trzech powróciliśmy do domu. Już w drodze myśleliśmy o przygotowaniach do obchodu misyjnego. Pierwszy wyruszył Ojciec Marian już dnia 17 lipca, Ojciec Jan powróci pierwszy po sześciu dniach i do 16 sierpnia będzie sam w domu. Ojciec Raymond przez dwa tygodnie wędruje z młodzieżą myśląc o założeniu organizacji chrześcijańskiej, która ma na celu podniesienie poziomu rolnictwa. Przedtem jednak wraz ze mną spędził trzy dni w Marofatsy (co znaczy „dużo kogucich ostróg”). O tym nie można zapomnieć.

Radosne te przeżycia rozpoczęły się w dniu 22 lipca. Trzykrotnie przechodziłem przez wioskę, w której jest piękny kościół, ale nie mogłem się zatrzymać, gdyż wspólnota katolicka „umarła”. Od ośmiu lat nie było tam Mszy Świętej. Po prostu zmarł katecheta i nie można było znaleźć innego, który potrafiłby poprowadzić nabożeństwa bez księdza. Katecheta musi umieć czytać i to jest najważniejszy warunek przy szukaniu odpowiedniego kandydata. Wiele osób przestało się modlić, gorliwsi przyłączyli się do wspólnoty anglikańskiej. W czerwcu i lipcu przedstawiciele odradzającej się wspólnoty w Marofatsy odwiedzili misję czterokrotnie, prosząc o książki liturgiczne, śpiewniki i katechizmy dla młodzieży. Dzień 22 lipca wypadł w czwartek. Wyruszyliśmy z Ojcem Raymond w towarzystwie harcerzy z Marolambo niosących swój sztandar: żółty krzyż na czerwonym tle. W dobrych humorach maszerowaliśmy 12 km przez 3 godziny dawną drogą „samochodową”, w górę rzeki Nosivolo. Przed wejściem do wioski umyliśmy nogi, jak malgaski zwyczaj każe. Młodzież weszła do dwóch domów stojących na skraju wioski, przeznaczonych dla podróżnych. Tutaj przebrali się zakładając swe harcerskie mundurki i ze śpiewem wkroczyli do wioski serdecznie witani przez wszystkich mieszkańców, nie tylko katolików. Marofatsy jest dużą wioską i są tu trzy wspólnoty chrześcijańskie: protestanci, anglikanie i katolicy. W „pięknym domu” rozmawialiśmy z „szefami” wioski i wspólnot religijnych, a młodzież robiła dużo szumu chodząc po wiosce. Kiedy obudziłem się z poobiedniej drzemki i wypłem kawę, wziąłem aparat fotograficzny i poszedłem do kościoła. Był pięknie przybrany zielenią i kwiatami na zewnątrz i wewnątrz. Wyczyszczone zostało otoczenie i droga prowadząca do kościoła. W pracach przygotowawczych okazali wielką gorliwość. Nie narzekali i nie zniechęcili się usłyszawszy, że pierwsze Sakramenty Święte będą udzielone dopiero po czterech latach.

Msza Święta rozpoczęła się o godzinie czwartej po południu. Pierwsza po ośmiu latach. Dzwonu tu nie ma i na nabożeństwo zwołano wszystkich gwizdkiem, jakiego sędziowie używają podczas meczów piłki nożnej. Tutaj wspólnota katolicka nie dorobiła się jeszcze takiego instrumentu i musiała wypożyczyć od wspólnoty anglikańskiej. Nie było żadnej trudności. Nie wszyscy zmieścili się w kościele, niektórzy siedzieli przed kościołem na ławkach przyniesionych z miejscowej szkoły. Głośno śpiewała młodzież z Marolambo. Tylko goście przystąpili do Komunii Świętej, uprzednio odliczeni, gdyż tutaj nie będzie się przechowywało Najświętszego Sakramentu. W większości wiosek czyni się tak samo, po prostu po „odliczeniu” na patenę obok dużej hostii kładzie się odpowiednią ilość komunikantów. Po Mszy Świętej powróciliśmy do domów w wiosce. Po kolacji zebraliśmy się w dużym domu w centrum wioski, przeznaczonym na zebrania. Dopiero później dowiedziałem się, że dom jest własnością wspólnoty anglikańskiej i tutaj są „zebrania modlitewne”, czyli że jest to ich kościół. Jest już zwyczajem, że na wieczorną naukę śpiewu przychodzą także niekatolicy i nawet niechrześcijanie, więc zawsze jest ciasno, ale przyjemnie. Przewodziła młodzież z Marolambo. Godzina dziesiąta wieczorem jest zwana „czasem, gdy wszyscy już śpią”, ale tym razem rozeszliśmy się o pół do jedenastej. Zresztą prawie nikt tu nie nosi zegarka, a wielu najstarszych i najmłodszych nawet się nie zna. Są dwie godziny małgaskie: rano i wieczór. Bardziej wykształceni pomiędzy te dwie godziny wprowadzają trzecią: południe. Najbardziej oświeceni uważają, że są cztery godziny: rano, przed południem, po południu i wieczór. Oczywiście, jest jeszcze noc, ale tej się nie dzieli. Należy ją przespać w całości, nie budząc się. No, może tylko wtedy, gdy noic jest zimna i trzeba urąbać drzewo, aby było co rzucić na ognisko. Tak postępują mieszkając w wioskach górskich i wilgotnych w najchłodniejsze miesiące, tutaj właśnie wakacyjne.

W piątek rano po otwarciu drzwi (znak, że misjonarz już wstał) przyniesiono mi ciepłą wodę i po raz pierwszy na Madagaskarze goliłem się i myłem w ciepłej wodzie. Wkrótce przyniesiono poranną kawę i zaczęliśmy przygotowywać się do Mszy Świętej. Znowu wielu modlących się siedziało poza kościołem. Msza Święta trwała długo. Ojciec Raymond pozostał w wiosce aż do soboty rano, uczestnicząc w Święcie wioski. Dzieci szkolne miały dzień wolny. W piątkowy wieczór harcerze i harcerki urządzili przedstawienie w miejscowym budynku szkolnym i tam też spali.

W sobotę przyszli starsi mieszkańcy z Marolambo, aby okazać swoją radość z odzyskania katolickiej wspólnoty. Zaskoczony byłem tak wielkim entuzjazmem. Początkowo planowałem zatrzymać się tu na jeden dzień w drodze powrotnej do domu wiedząc, że w tej wielkiej wiosce wspólnotę katolicką tworzy zaledwie kilka rodzin, zaś bardzo silne są wspólnoty protestancka i anglikańska. Dobrze, że pisząc program przeznaczyłem na tę wioskę jeden cały dzień dla siebie, ale Ojciec Raymond znając lepiej misjonarskie życie poświęcił im trzy dni.

Po Mszy Świętej w piątek zjadłem dobre śniadanie (ryż z kurą i herbata z ryżu), pożegnałem radosnych mieszkańców udając się do innych wspólnot południowej części mojego sektoru. Dalszych odwiedzin nie będę opisywał, gdyż już zrobiłem to szczegółowo w poprzednim liście. W pięciu wioskach zanotowałem nazwiska uczących się katechizmu i ku memu radosnemu zdziwieniu naliczyłem ich łącznie sześćdziesięciu, większość stanowili nieochrzczeni (9-16 lat). Już w każdej wiosce jest przynajmniej jeden mały katechizm i jeden większy z wyjaśnieniami dla katechety. O gorliwości uczniów świadczy fakt, że czterem z nich nie mogąc znaleźć u siebie nauczyciela katechizmu w każdą niedzielę idzie do sąsiedniej wioski oddalonej o 5 kilometrów. Tu już w sobotę przychodzi pewna katechetka, która jest (a raczej była) kandydatką na zakonnice i uczy pierwszą grupę. W niedzielę rano przechodzi do następnej wioski (5 km) i uczy drugą grupę uczestnicząc w niedzielnej liturgii bez księdza. W południe przechodzi 10 km powracając do swojej wioski i uczy trzecią grupę. Dostała za to ode mnie błyszczący różaniec przywieziony z Rzymu przez Ojca Franciszka.

Oczywiście w życiu nie mogą być tylko radości i po każdym zdarzeniu miłym musi nastąpić niemiłe dla równowagi. Dlatego nie mogłem odwiedzić jednej wioski, która była uważana za „umarłą”, ja jednak już tam nocowałem i odprawiałem Mszę Świętą w kwietniu. Tym razem w przeddzień odwiedzin mieszkańcy wysłali do mnie delegację (2 godziny drogi), która prosiła mnie, abym do nich nie zachodził albo dopiero za cztery dni. Powód: wioskowe święto po

zbiarach ryżu przypominające tradycyjny polski odpust bez nabożeństwa i straganów, ale z alkoholem. Obawiano się rękoczynów i misjonarzowi chcieli zaoszczędzić nieprzyjemnych przeżyć. To dobrze o nich świadczy. Jednakże musiałem przechodzić przez ich wioskę, gdyż innej drogi nie miałem. Poprowadzono mnie ścieżką obok wioski, z ominięciem jej centrum. Oprócz tragarza towarzyszył mi pewien katolik z sąsiedniej wioski „dla obstawy”. W październiku ich nie pominę. Przed rokiem byłem już w innej wiosce podczas święta, zaszedłem niespodziewanie, gdyż list zaginął, ale żadne przykrości mnie nie spotkały. Była to nadgorliwa życzliwość, czy po prostu odmowa uczestniczenia we Mszy Świętej, bo i takie wyjaśnienie jest możliwe. Nie rozumiem tylko, dlaczego obchodzono tu święto w lipcu, a nie w tradycyjnym terminie, we wrześniu?

Jest jeszcze jedna wioska, w której misjonarza nie było od siedmiu lat. Terytorialnie należy ona do sektoru Ojca Jana, ale on od swojej najbliższej wioski ma do przejścia drogę 5 godzin, ja zaś widzę ją doskonale przechodząc 3 km obok niej. Nadłożyłbym tylko 6 kilometrów i jeden dzień, gdyby kiedyś mnie zaprosili. Na razie powiedziano mi, że jest tam tylko jedna rodzina katolicka i od lat już się nie modlą. Wspólnota śpi.

W pewnej wiosce wśród różnych pism wyrażających uznania i nagrody dla gospodarza znajduje się „Dyplom Zasłużonego Katechety” podpisany przez Księdza Biskupa przed dwudziestu laty. Niesposób tego nie widzieć podczas odprawiania Mszy Świętej. Widziałem też na półce w rogu pokoju Pismo Święte i dlatego zachęciłem do czytania Słowa Bożego. Wtedy katecheta wyjaśnił mi, że Ewangelii czytać nie może, bo ma starą, trzydziestoletnią, a nowej Biblii kupić nie może.

Z niepewnością, co mnie czeka, wchodziłem do innej wioski, gdzie bez uprzednich rozmów zawiadomiłem, że się tam zatrzymam. Tu mieszka tylko jedna „dwuosobowa” rodzina: pracująca w małym szpitaliku położna wraz ze swoją córką. Mszę Świętą odprawiłem w jej domu. Oprócz tej matki z córką uczestniczył katecheta i dwunastoletnia córka sąsiada, która widziała Mszę Świętą po raz pierwszy w życiu. Spotkałem tam inną rodziną katolicką, ale ci wyruszyli w drogę powrotną do domu jeszcze przed Mszą Świętą bojąc się iść po ciemku. Wyobraźcie sobie szpital o dwóch salach z kilkoma łóżkami bez materacy, bez chorych. Ludzie przychodzą tu po porady, bo co innego można dla nich zrobić? Lekarstw jest niewiele, wszystkie trzeba przynieść na plecach z Marolambo, 40 km.

Nie ma tu lekarza, a położna była uszczęśliwiona, gdy dałem jej wszystkie posiadane aspiryny w ilości... dwudziestu sztuk. Jednakże postanowiłem zatrzymać się w tej wiosce mając nadzieję, że i tam powstanie kiedyś wspólnota katolicka. Chcę wykorzystać właśnie obecność tej katoliczki, córki gorliwego katechety.

Powróciłem do domu dnia drugiego sierpnia przechodząc przez wioskę Marofatsy. Pomimo, że minęło już 10 dni, ktoś obserwował drogę, gdyż po wejściu do wioski poproszono mnie o wejście do jednej z chat i podano gorącą kawę. Ostatniego dnia mam do przejścia 20 kilometrów w dół rzeki Nosivolo i niemal w połowie mała blaszana filiżanka mocnej kawy dobrze mi robi.

W domu od razu zabrałem się do zrobienia skrzynki na kawę. Koty upodobały sobie spanie w koszykach z kawą i trudno ich stamtąd przegonić. Ostatnio kupiliśmy trochę desek, więc materiał i narzędzia mamy. Niestety, robiłem to (z dużą pomocą Ojca Jana) po raz pierwszy i skrzynia okazała się zbyt duża, przynajmniej czterokrotnie. Ale kawa może dosychać, są szerokie prześwity zrobione z gęstej siatki.

Byłem sam na misji, gdy o 4-ej w nocy obudził mnie dzwon. Wszedłem z pokoju na werandę i zaświeciłem latarką chcąc zobaczyć dzwonnika. Początkowo myślałem, że zasnę i ktoś mnie wyręcza. Jednakże to nie byłoby możliwe, gdyż tylko w sobotę przyjdzie kilka osób na ranną Mszę Świętą. Zanim zobaczyłem na zegarku godzinę, zrozumiałem wszystko: sto metrów od misji płonął dom. Mieszkańcy Marolambo już zgromadzili się wokół ognia, ale pomoc można było ograniczyć do gaszenia iskier spadających na sąsiednie dachy oraz do obalania płonących belek do środka „ogniska”. Właściciele domu stracili wszystko, ale byli bardzo szczęśliwi, że ocalili swoje życie. Za tydzień nie było już śladu, że kiedyś stał tam dom.

Poza tym, jak po każdym obchodzie, goję odciski, aby w dniu 8 sierpnia rozpocząć obchód północnej części mojego sektoru już ze zdrowymi nogami. Niedługo pozostanę w domu, ale list do Was zdążę napisać.

Zrezygnowałem z mieszkania na dole. Mieszkanie bardzo wilgotne, a okna i drzwi w nocy i w czasie poobiedniej sjeisty trzeba mieć zamknięte. Pod pokojem kiedyś była piwniczka, teraz jest ona wypełniona pustymi butelkami i innymi brudami. Przed urządzeniem biura trzeba będzie wyczyścić i to miejsce. Wskutek zrobienia cementowej werandy powietrze nie może chłodzić podłogi. Nasz dom najpierw był parterowym, potem ulepszono go wylewając trzymetrowej szerokości werandę. Przestrzeń pozostała, ale nie ma odpowiednich kanałów do przepływu powietrza, stąd powietrze stęchło w dolnych pokojach. Następni misjonarze dołożyli sześć pokoiów „wkładając” je pomiędzy parter, a dach. Tak dom misyjny stał się piętrowym. Pokoje na piętrze są dużo przyjemniejsze. A ja jeszcze raz przekonałem się, że „pierwsze jest lepsze”.

*Z serdecznym pozdrowieniem
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Malgasze są bardzo uprzejmi i nigdy nie chcą zrobić przykrości. Dlatego ja nie bardzo wierzę w ich gorliwą naukę katechizmu. Już niejednego misjonarza tak oszukali. Wytrwali w nauce miesiąc, a po następnym obchodzie misyjnym znów zaczęli się uczyć. Co Wy na to? Dużo obiecujecie? A ile zrealizujecie? Bo gdybym ja dostawał wszystkie obiecane przez Czytelników listy, nie miałbym czasu na zbijanie skrzynki. Dziękuję Wam za to, że nie przysyłacie mi listów. Jesteście (niektórzy) podobni do Malgaszy, którzy obiecują, a potem nie przeszkadzają mi pracować. To dobrze o Was świadczy, a mnie oszczędzacie czas. Więc nie przejmujcie się, gdy między nami urwie się korespondencja.